

Wojownicy z piaskownicy

Jeżeli chcemy autentycznej zmiany w naszych społeczeństwach, wielkiego żniwa i Bożych cudów, powinniśmy przestać bawić się w armię „na niby”, tylko założyć zbroję i iść. Ale nie do ciepłego kościółka, lecz do niezbawionych ludzi!

Artur Pawłowski

Gdy zostałem poproszony o napisanie artykułu do tego magazynu, długo się zastanawiałem, jakie przesłanie byłoby najodpowiedniejsze. I wtedy zrodził się w mojej głowie pomysł na cykl reportaży, czy może bardziej opowieści, którymi chciałbym podzielić się z moimi rodakami w Polsce.

Jakie to miałyby być historie? Czego nam tak naprawdę brakuje w naszym skomputeryzowanym, szybkim świecie, który ciągle stara się nam wmówić, że czasy Bożego działania już minęły. Nieustannie słyszymy: „To już tylko historia, którą dobrze jest znać, ale okres Bożych wojowników chodzących w mocy już przeminął. Żyjemy przecież w innych czasach, tacy ludzie byli potrzebni kiedyś, teraz już nie są. My mamy przecież kościoły, dach nad głową i względny spokój...”.

Poczucie, że zostaliśmy stworzeni do czegoś większego niż zwyczajne życie, zostało gdzieś zakopane lub stłamszone przez tych, którzy sami nic nie robią i nie chcą, aby inni cokolwiek robili. Ciągłe się nam powtarza, że czegoś się po prostu nie da zrobić. Tymczasem jednak „ci, którzy krzyczą, że nie da się czegoś zrobić, zawsze stoją na drodze tym, którzy już to robią”. Jakaż niesamowita prawda jest zawarta w tych kilku słowach. Przejdźmy zatem do rzeczy, zadając sobie chyba najważniejsze w obecnych czasach pytanie, jaka jest rola Kościoła i co powstrzymuje nas, dziedziców Bożego błogosławieństwa, w jej wypełnieniu.

był człowiekiem podobnym do nas”, w rozdziale 11 Listu do Hebrajczyków mówi się o ludziach takich jak my sami – z krwi i kości. Czyli problem jednak nie tkwi w tym, że to byli jacyś niezwykli herosi, lecz w nas samych. Jak widać, to nie Bóg gdzieś po drodze zmienił taktykę planu zbawienia i tego, jak prowadzić przez życie swoje dzieci, tylko to my zatraciliśmy to „coś”, co przewraca miasta do góry nogami, co zmienia bieg historii i przyprowadza grzeszników w miejsce przebaczenia oraz pokuty – pod krzyż. Czym zatem jest to „coś”? Czego nam brakuje? To wiara, moi drodzy! Wszyscy ci ludzie uwierzyli żywemu Bogu, temu, który jest począt-

Pragniemy wielkich rzeczy, ale równocześnie nie chcemy zapłacić ceny, która jest wymagana, żeby je osiągnąć.

Herosi czy zwykli śmiertelnicy?

Przez lata siedząc w kościelnej ławce, słyszałem bardzo dobre, muszę przyznać, kazania o różnych wydarzeniach biblijnych. Wspaniałych zdobywcach Bożych obietnic, o Dawidzie wygrywającym z Goliatem, o Danielu i lwach, o Esterze i jej dzielnej postawie, gdy wbrew prawu, patrząc śmierci w oczy, stanęła przed królem. O apostołach, którzy wypełnieni Duchem Świętym stawali przed potężnymi tego świata, głosząc im Dobrą Nowinę, często tę „zuchwałość” i „arogancję” przypłacając życiem, a mimo to rozprzestrzeniając Boże Królestwo po całym ówczesnym świecie. Samo nasuwa się pytanie, kim byli ci ludzie i czym my się od nich różnimy?

Sednem sprawy, według mnie, są słowa zawarte w Liście do Jakuba. W 5 rozdziale czytamy, że „Elias

kiem i dokończycielem naszej wiary. Temu samemu, który trzyma nasze życia w środku swojej dłoni, który mówi w swoim słowie: „Jeżeli mnie kochasz, bądź posłuszny moim przykazaniom”.

W sidłach strachu

Więc jak to z nami jest – tak naprawdę? Pragniemy wielkich rzeczy, ale równocześnie nie chcemy zapłacić ceny, która jest wymagana, żeby je osiągnąć. Często również wierzymy w kłamstwo, że nie możemy czegoś zrobić, ponieważ... – i tu możemy wstawić dowolną rzecz. Wykrętów i wymówek jest niezliczona ilość. Jeszcze nie jest na to czas, to znów nie mamy wystarczających środków, czasu, pomysłu. Czasem „musimy poczekać na lepszą okazję, kiedy ludzkie serca będą bardziej otwarte”, i tak

dalej, i tak dalej. A ja wam mówię, że to są zwykłe wymówki, które przysyłają coś o wiele bardziej niebezpiecznego, co siedzi w naszych sercach. W najlepszym wypadku zwykłą ignorancją lub brak znajomości Bożego Słowa. W najgorszym, strach – tak – najzwyklejszy ludzki strach.

Moja żona często mi powtarza, że ludzie bardzo lubią uduchawiać swoją postawę (jakże wygodną, należy tutaj zaznaczyć), żeby czegoś nie zrobić dla Królestwa Bożego, przykrywając tym samym zwykłe tchórzostwo i brak posłuszeństwa Jezusowi. Czy wiecie, o czym mówię? Jeśli nie, to postaram się wam to trochę rozjaśnić.

Ludzie bardzo lubią uduchawiać swoją postawę, przykrywając tym samym swoje tchórzostwo i brak posłuszeństwa Jezusowi.

Ogień i... słoma

Pewnego razu wraz z całą rodziną zostaliśmy zaproszeni przez mojego znajomego do dużego kościoła na nabożeństwo. Pastor to znany z telewizyjnych programów kaznodzieja. Mój znajomy był bardzo podekscytowany naszą wizytą, zapewniał o tym, że w tym kościele naprawdę płonie Boży ogień. Zaczęło się nabożeństwo, muzyka, modlitwy, następnie spora część kongregacji wstała, wychodząc na środek z różnymi przedmiotami, ktoś miał w ręku tamburyno, ktoś złapał za bębny. Mój znajomy miał ze sobą łaskę. Zauważyłem, że ludzie pościągali ze ścian miecze i tarcze (które służyły również do dekoracji) i zaczęło się. W takt bardzo wpadającej w ucho, trochę przypominającej muzykę wojenną melodii ludzie deklarowali Słowo Boże, śpiewając, modląc się, poruszając w kółku na środku sali. Efekt tego był naprawdę niesamowity, rzeczywistość czuła się tę bitewną atmosferę. Jak prawdziwi zdobywcy wchodzący do Ziemi Obiecanej. Im więcej ludzi się dołączało, tym atmosfera bardziej gęstniała, słychać było płacz za ludźmi, za naszymi miastami, za krajem, który odszedł od Boga w pogoni za materializmem i uciechami tego świata. Sam miałem niezmierną ochotę pomaszerować razem z nimi, złapać za miecz i krzyknąć razem z innymi: „To prawda, nasz Bóg jest wielki i mocny, niezwyciężony w boju, a my jesteśmy Jego armią”, ale

jako gość postanowiłem poczekać na dalszą część nabożeństwa. Widać było, że ludzie byli z siebie bardzo dumni, na ich twarzach malowała się radość i pewność siebie. Gdy muzyka się skończyła, każdy usiadł na swoim miejscu, następnie powoli wstał pastor i rozpoczął kazanie. Po jakimś czasie opowiedział, jak Bóg przez ostatni okres kładzie mu na sercu jego miasto i dzielnicę, w której był kościół, przypominał, że naokoło nas umierają ludzie, mówił, jak wielka jest to tragedia, że ci ludzie bez Jezusa pójdą prosto do piekła, a przecież ten kościół był tak blisko niego. Następnie powiedział coś, czego prawdopodobnie nie zapomnę do końca życia. Ten znany telewizyjny kaznodzieja przyznał się, że Jezus kazał mu rozszerzać Królestwo tam, gdzie są ludzie, wyjść z kościelnych murów na zewnątrz, a on po prostu nie wiedział, jak to zrobić, prosił o pomoc. Muszę powiedzieć, że choć pół godziny wcześniej wielu tańczyło i krzychało, deklarowało Słowo Boże i Jego obietnice, w tym momencie nie wyszedł nikt. Nie było nikogo, kto by wstał i powiedział – pastarze, zróbmy to czy tamto, mam pomysł na ewangelizację. Nic z tych rzeczy, tylko cisza. Siedziałem przybity realnością tej przytłaczającej prawdy, tego, że kościół nie ma zielonego pojęcia, jak zdobywać ludzkie dusze, za które przecież nasz Bóg oddał własne życie.

Papierowa armia

W końcu nie wytrzymałem. Podszedłem do pastora i opowiedziałem mu nasze świadectwa z ulicy z Calgary, że Bóg jest przecież taki sam wczoraj, dzisiaj i na wieki, że też kiedyś mieliśmy z tym problem, ale teraz przychodzą i nawracają się setki ludzi, a tyśiące są dotykane przez Jego Łaskę, że to, co spętało jego kościół, to strach, który trzeba przełamać. Mówiłem mu, że przecież doskonała miłość odrzuca wszelki strach, że jak Bóg z nami, to któż może być przeciwko. Kontynuowałem, że Jezus rozkazał nam przecież wyjść i głosić Ewangelię wszelkiemu stworzeniu, a to jest tylko możliwe na zewnątrz, gdzie są ludzie, drzewa, ptaki itd., gdyż jest napisane, że całe stworzenie oczekuje na manifestację synów Bożych. Kościół jest potrzebny do nauki i budowania się nawzajem w Słowie Bożym, ale Jezus nam przecież pokazał, co mamy robić, i przede wszystkim – jak mamy to robić – naśladując Jego samego. Czyż nie jesteśmy naśladowcami samego Chrystusa? Jezus spędził więcej czasu na zewnątrz świątyni niż wewnątrz, czyż nie taka jest prawda? Pastor patrzył

Wierzę, że nie chcecie być kukielkową armią. Pięknie ubrana i chodząca w kółko... No właśnie, w tym szkopuł – w kółko!

na mnie, nie dowierzając, więc pociągnąłem ten wątek dalej: Weźcie ten ogień, który tutaj macie, i zapalajcie dla Boga swoje dzielnice, swoje miasta, jak kiedyś apostołowie. Armia jest wtedy armią, gdy wychodzi i zdobywa to, co zostało zrabowane. Broni, gdy przychodzi taka potrzeba, i nie chowa się za murami swoich budowli obronnych, bowiem w przeciwnym razie jest skazana na niepowodzenie i w efekcie na rozbięcie. Mój słuchacz kompletnie się ze mną nie zgodził, nie był w stanie wyobrazić sobie siebie na czele kościoła, który publicznie wychodzi na otwarte pole bitwy, żeby zdobywać. Niestety to było dla tego człowieka nie do przeskokowania. Smutni wyjechaliśmy z tego miejsca, a prawda była taka, że ten lider reprezentował stan, w jakim znajduje się większość chrześcijan w naszych kościołach.

Głoszący niepraktykujący

Więc co robić? Muszę przyznać, że jestem już zmęczony ludźmi, którzy dużo mówią, ale mało robią, dobrze się modlą, deklarują i tańczą, ale gdy przychodzi realność prawdziwej bitwy, gdzie życie ludzi wisi na włosku, piekło lub niebo staje się realnością, chowają się za swoimi murami. Jestem również zmęczony słuchaniem kolejnego człowieka na kolejnej już z rzędu konferencji, który dobrze mówi, ale sam często tylko lata z jednego miejsca do drugiego, i to nie za darmo, za opłatą, czasem zresztą niemałą (w Kanadzie około stu dolarów za kazanie od osoby), zapominając o słowach Żywego Boga: „Darmo dostałeś, darmo dawaj”. Mam już dosyć ludzi, którzy wykorzystują pulpity do swoich prywatnych celów, uduchawiając wszystko, co robią. Wiem również, że wielu z was, moi drodzy, jest również tym zmęczonych. Proszę mnie dobrze zrozumieć, oczywiście, że mamy głosić, nauczać, jednak w tym wszystkim najważniejsze jest to, żeby być wykonawcą Słowa Bożego, a nie tylko słuchaczem czy też niepraktykującym posłańcem.



Liczy się tylko Bóg

No właśnie, ale jak? Bez przykładów wokół nas samych jest nam ciężko. Jak znaleźć właściwą metodę czy efektywne podejście do ewangelizacji, tak aby przyniosła żniwo? Przecież o to nam wszystkim chodzi. Historie, którymi będę się dzielił, to opowieści o ludziach takich jak ty i ja. Zwykli śmiertelnicy, niczym niewyróżniający się zjadacze chleba, nieodznaczający się niczym szczególnym – może poza jednym: oni wszyscy mają tę samą pasję – służyć Żywemu Bogu całym sercem, całą duszą i z całej siły, jaka jest im dana. Na koniec liczy się tylko Bóg i Jego wola. Wierzę, że i wy tego pragniecie, że nie chcecie być lub stać się kukielkową armią jak ta w kościele mojego znajomego. Pięknie ubrana w lśniącą zbroję, przepasana pasem, z mieczem i tarczą w dłoni, chodząca w kółko... No właśnie, i w tym szkopuł – w kółko. Armia, która boi się przekroczyć próg własnego budynku, staje się armią kukieltek, za które często, zbyt często, pociągają aktorzy-liderzy. Pamiętam, jak kiedyś Bóg pokazał mi pięknego młodego rumaka, jego mięśnie i siła manifestowały się przy każdym jego ruchu. Gdy biegł, wydawało się, że rozniesie ziemię pod swoimi kopytami. Niepokromiony i dziki. Piękno i siła, takie były moje myśli. Ale Bóg pokazał mi coś innego. „Widzisz go – powiedział – jest piękny, silny i... całkowicie beużyteczny. Ile możesz na niego tak patrzeć? W końcu znudzony odejdziesz. Koń, nieważne jak wspaniały i silny, bez wędzidla, uzdy i wodzy – staje się nieprzydatny, można na niego tylko popatrzeć. A gdy jest krnąbrny i nieposłuszny, staje się również śmiertelnie niebezpieczny, dla siebie i otoczenia”. Bóg wymaga od nas posłuszeństwa i chce nas poprowadzić. Przecież każdy z nas oddał mu swoje życie...

Następnym razem opowiem wam, co dzieje się wtedy, gdy ludzie biorą Słowo Boże na poważnie, wychodząc z nim na zewnątrz w posłuszeństwie. ■